ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Czerwca 1893. Nr. 11.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

CZTERNASTOLETNI MĘCZENNIK.

Za panowania cesarza Dyoklecyana, w pierwszych latach IV wieku, srogie było chrześcian prześladowanie. Zrazu trwało ono tylko we wschodnich prowincyach ogromnego państwa — na zachodzie panowała cisza, lecz nareszcie i w samym Rzymie nakazano igrzyska w cyrku i widowisko tak upragnione dla pogańskich Rzymian, walki chrześcian z dzikiemi zwierzętami, których na ten cel wiele sprowadzono z Afryki. Kończono właśnie ogromne gmachy termów (łaźni) Dyoklecyana, z których potem dwa katolickie powstały kościoły i bardzo wielu więźniów, których jedyną winą była ich religia, zatrudniono koło budowli, lecz że rozpoczęło się prześladowanie i zbliżał się dzień jakiejś uroczystości, więc znaczną część tych robotników co najokazalszej postaci wrzucono wraz z innemi oskarżonemi do Marmertyńskiego więzienia, aby byli w pogotowiu do widowiska. Byli to wszystko ludzie pracowici, łagodni, pełniący z ochotą naznaczony sobie obowiązek, modlili się za swych nieprzyjaciół, dobrem za złe im płacili, słowem byli to prawdziwi chrześcianie, jednak zaciętość pogańska, posądzała ich o najhaniebniejsze występki i nawet u oświeceńszych, ale nieświadomych rzeczy Rzymian, wyraz chrześcianin znaczyło to samo co najgorszy człowiek.

Przypatrzmy się więzieniu, w którem zamknięto tych świętych męczenników, co mieli iść z uśmiechem radości na męczarnie, żeby o boskim początku swojej religii i o nadziejach, jakie ona daje, przekonać. Tak okropnego więzienia, jak było Marmertyńskie już chyba w żadnym kraju spotkać dziś nie można. Były to dwie, duże, czworograniaste izby wykute pod ziemią jedna po nad drugą, że dwa piętra stanowiły. Jedyny otwór przechodził przez ich środek; nim spuszczano i więźniów i pożywienie dla nich, przez niego też jedynie dochodziło powietrze i światło, jeżeli więc wyższe piętro było napełnione ludźmi, można sobie wystawić jak nie wiele światła i świeżego powietrza dochodziło do nieszczęśliwych zamkniętych w niższem piętrze, na którem wilgoć była jeszcze większa, bo o urządzeniu ścieków i wentylatorów bynajmniej nie myślano. Dziś jeszcze w tych okropnych podziemiach

widzieć można żelazne ogniwa, do których więźniów przykowano. Wielu z nich umierało tam, od zepsutego powietrza.

Wilią dnia, w którym mieli walczyć z dzikiemi zwierzętami, czyli raczej być im oddanemi na pastwę, bo walki tam nie bywało — pozwalano skazanym widzieć się z krewnemi i przyjaciołmi i pełno chrześcian jeszcze nie oskarżonych, przychodziło polecić się modlitwom świętych wyznawców, mających ich uprzedzić przed tron Przedwiecznego.

Wieczorem zastawiano im obfitą wieczerzę — dawano do picia najwykwintniejsze wina. Było to jakby jaka publiczna wystawa i poganie zgromadzali się tam licznie przypatrując się z ciekawością twarzom przyszłych ofiar, tak spokojnym, bo napełnionym wiarą w przyszłe życie.

Podczas kiedy prześladowcy zajmowali się pokrzepieniem ich ciała, kościół jak matka opatrzna, troszczył się o umocnienie ducha swych dzieci. W podziemnych cmentarzach chrześcian, które dziś katakumbami zowią, były kaplice, gdzie odprawiano nabożeństwo, w czasach grożącego niebezpieczeństwa. Duchownym niższych święceń naznaczonem było roznoszenie komunikantów po więzieniach, gdzie przytomni dyakonowie rozdzielali chleb życia, na wieczności drogę. Właśnie kiedy kapłan Dyonizyusz u ołtarza, na którym stało cymboryum, rozglądał się w około siebie, wybierając komu ma powierzyć, tak święty, a zarazem niebezpieczny obowiązek, młody kilkonastoletni akolita*) Tarcyusz zbliżył się i przed nim uklęknął, a chociaż nie wyrzekł słowa, jego ręce wyciągnięte i oczy promieniejące anielskim wyrazem słodyczy, niewinności i poświęcenia, świadczyły wymownie, że on pragnie być wybranym.

— Za młody jesteś, moje dziecko — rzekł kapłan ze wzruszeniem.

— Właśnie też młodość moja, da mi przejść niepostrzeżenie. Ojcze duchowny, nieodmawiaj mi szczęścia tego!

*) Akolita jest to jeden stopień w czterech pierwszych mniejszych święceniach kapłańskich.

I łzy błysły w jego oczach, a rumieniec wzruszenia wykwitł na twarzy. Wyciągnął znowu ręce i błagał tak gorąco, że Dyonizyusz nie był w stanie mu odmówić. Wziął sakrament przenajświętszej Eucharystyi, owinął podwójnie w białe płótno i oddając go dziecku rzekł:

— Pamiętaj Tarcyuszu, że skarb niebieski twojej poruczony jest pieczy, unikaj spojrzeń i pytań ciekawych, pomnąc, że święty pokarm psom rozdawanym być nie może, że się nie rzuca pereł przed wieprze. Będzieszże strzegł wiernie tych darów niebieskich?

— Zginę raczej, a nikomu ich wziąść nie dam — odpowiedział pobożny młodzieniec, chowając paczkę za stanik swej tuniki; poczem wziąwszy błogosławieństwo kapłana, puścił się w drogę, unikając zarazem i miejsc bardzo ludnych i uliczek pustych zupełnie, a szlachetna twarz jego przybrała niezwykły wyraz powagi.

Właśnie z jednego dużego domu wychodziła jego właścicielka, bogata bezdzietna matrona i piękna, tchnąca słodyczą i łagodnością postać chłopczyka, jej uwagę zwróciła.

— Zatrzymaj się, moje dziecię — rzekła, stając na przeciw niego, powiedz mi jak się nazywasz i gdzie twoi rodzice mieszkają?

— Jestem sierotą, na imię mi Tarcyusz — odrzekł, podnosząc oczy z anielskim uśmiechem.

— To wejdź, spocznij cokolwiek w moim domu. Radabym pomówić z tobą. O! czemuż nie mam takiego jak ty dziecięcia!

— Teraz zatrzymywać się niemogę, szlachetna pani. Zlecono mi wypełnienie ważnego i świętego obowiązku, którego odwłóczyć nie można.

— To mi choć przyrzeknij, że mnie jutro odwiedzisz. Pamiętaj — ja tu w tym domu mieszkam i czekać na ciebie będę.

— Jutro, jeżeli żyć będę, to wstąpię — powiedział Tarcyusz, z wyrazem twarzy, który zrobił szczególne wrażenie

na matronie, choć go zrozumieć nie mogła.

Poszedł dalej chłopczyk, a poważna rzymianka długo za nim patrzyła, czując się pociągniętą jakimś urokiem, którego sobie wytłumaczyć nie była w stanie. Szła więc w tę stronę ciekawa, gdzie on się obróci, aż na raz głośne krzyki i zamieszanie, doleciały jej uszu i serce przestrachem ścisnęły.

Tymczasem Tarcyusz nie zajmując się tem bynajmniej, że ona radaby go uczynić swym synem przybranym i mając umysł wznioślejszemi myślami zajęty, szedł spiesznym krokiem ku więzieniowi. Lecz żeby się tam dostać, wypadło mu przechodzić koniecznie przez plac wielki, na którym bawiły się dzieci, wyszłe z sąsiedniej szkoły.

Właśnie brakowało im jeszcze jednego towarzysza do gry rozpoczętej, więc przyjęli zbliżającego się Tarcyusza z okrzykami radości.

— Chodź, chodź, — zawołał na niego jeden, który go znał — będziemy się bawić wybornie. Czemuż to teraz nigdzie cię widzieć nie można, gdzie biegniesz tak prędko?

I schwycił go za rękę.

— Puść mnie, mój Petiliusie — poprosił chłopczyk — teraz bawić się nie mogę; mam wypełnić ważne zlecenie.

— To odłóż je na później.

— Ale...

— Niema żadnego »ale,« — przemówił drugi chłopiec silny i barczysty. Nie targuj się z nami, bo ja nie zniosę oporu. Brak nam jednego, musisz zatem do naszej gry należeć. Dalej — chodź!

— Proszę was na wszystko! — zawołał Tarcyusz błagalnym głosem — nie zatrzymujcie mnie.

— Nic to nie pomoże — odparł tamten. — Lecz pokaż no, co ty tam tak dusisz na piersiach? List pewno jaki. Wielkie rzeczy, że dojdzie do swego przeznaczenia pół godziny wcześniej lub później. Daj, ja go schowam, żeby się podczas gry nie zarzucił.

I wyciągnął rękę, żeby wziąść ów list mniemany.

— To być nie może — zawołał akolita, wznosząc w Niebo błagalne spojrzenie i modląc się o siłę uchronienia od świętokradztwa powierzonych sobie świętości.

— Właśnie, że ja chcę wiedzieć — zawołał grubijańsko tamten chłopiec — co ty za tajemnicę kryjesz.

Zaczął go szarpać gwałtownie za rękę, którą on tulił do piersi i wnet gromada ciekawych zbiegła się pytając, co to ma znaczyć? Patrzano ze zdziwieniem na Tarcyusza, który wyglądał jak gdyby obdarzony siłą nadludzką, tak energicznie odpierał wszystkie usiłowania chłopców starszych od siebie, chcących rozerwać ręce jego, skrzyżowane na piersiach. Bito go pięściami, policzkowano, ale wszystko nic nie pomagało.

Ciekawość wzmagała się coraz bardziej, dopytywano się zewsząd, co to być może?

— To ja wam powiem — rzekł przechodzący właśnie, jeden z oskarżycieli chrześcian, co szpiegując ich wciskali się nieraz aż do kaplic, w których się odprawiało nabożeństwo.

— Poznaję ja tego chłopca, to chrześcianin i niesie relikwie.

W tej chwili powstał wrzask okropny.

— Relikwie, tajemnice chrześcian — zawołało złorzecząc kilkadziesiąt głosów widzieć chcemy koniecznie!

— Nigdy, nigdy — odpowiadał z silnem postanowieniem Tarcyusz, a w tem kowal barczysty uderzył go pięścią w głowę tak silnie, że krew rzuciła się nosem i ustami nieszczęśliwemu. Wnet jak grad posypały się uderzenia i biedny akolita skrwawiony cały, cisnąc zawsze ręce do piersi padł zaledwie żywy na ziemię.

Rozjuszeni pogani spodziewali się, że teraz mu wydrą owe ciekawe dla nich tajemnice; kilkunastu rzuciło się na niego, gdy wtem ci co się znajdowali najbliżej zostali wyrzuceni jak piłki w powietrze i upadli w błoto przyległe; drudzy wystraszeni usunęli się i wtedy dostrzedz można było sprawcę tego wszystkiego, oficera olbrzymiej postaci,

który tak skarciwszy okrutników, przykląkł przed ofiarą i ze łzami w oczach, a z macierzyńską troskliwością, podniósł jego członki zbolałe. Był on tajemnym chrześcianinem.

— Czy bardzo cierpisz Tarcyuszu — zapytał ze smętną boleścią.

— Ach! Kwadratusie, nie zajmuj się mną — odparł chłopczyk otwierając oczy. — Ja mam na sobie przenajświętszy sakrament, weź go i ocal, bo ja umieram.

Wojskowy wziął rannego na rękę z wielką czcią i uszanowaniem, bo miał nieść nietylko dziecię, ofiarę poświęcenia za wiarę, ale boską, najświętszą ofiarę odkupienia wiecznego, Króla i Pana wszystkich męczenników.

Mężny Kwadratus nie czuł ciężaru swego i szedł śmiało, a nikt go zatrzymać się nie ważył. Jedna tylko bogato ubrana matrona, zaszedłszy mu drogę na skręcie ulicy, jęła się przypatrywać omdlałemu dziecięciu z wyrazem boleści i przestrachu i zapytała Kwadratusa:

— Czyżby to był ten sam Tarcyusz, którego spotkałam przed chwilą tak pięknym i swobodnym. Co jemu się stało biedakowi?

— Ach! pani, — odpowiedział Kwadratus — zamordowano go, bo był chrześcianinem.

Rzymianka wpatrzyła się z rozczuleniem w wybladłą twarz chłopczyka. Ten otworzył oczy po raz ostatni i uśmiechnął się do niej konając, ale jego spojrzenie było ożywczym promieniem łaski, który przeniknął duszę poganki. Pojęła, że boską musi być religia, dla której znosi się z taką gotowością największe męczarnie. Wkrótce też nawróciła się sama.

Czcigodny kapłan Dyonizyusz zapłakał łzami rzewnemi znalazłszy na skrwawionej piersi chłopczyka, nienaruszony skarb święty jego poruczony pieczy. Kwadratus zaniósł go sam do grobu, gdzie został pochowany podobny jeszcze bardziej niż za życia, do aniołów. Później św. Damazy papież ułożył dla niego grobowy napis. Wspomniany jest w Martyrologu rzymskim pod dniem 15-go Sierpnia, a relikwie jego zostały następnie przeniesione do kościoła św. Sylwestra.

Nie potrzeba dodawać, że w tej chwili znalazł się kto inny pomiędzy wiernemi Chrystusowemi, co zaniósł uwięzionym, duchowny posiłek przenajświętszego Sakramentu.

„Oto ja służebnica Pańska!“

(Do obrazka: »AVE MARIA.«)

Klęczy Marya z lilią z łona
O wczesnem wiosny zaraniu,
W cichej modlitwie kornie pochylona
Po dziwnem anielskiem wezwaniu.
Choć nie pojmuje słów archanioła,
»Oto ja służebnica Pana mojego,«
W pokorze ducha ku niebiosom woła,
»Niech mi się stanie według słowa Twego.«

Cóż znaczy to pozdrowienie?
Czy radość i wesele?
Czy sercu rozradowanie?
Czy smutku i krzyżów wiele?
Tajemnicze te słowa,
Któż je zrozumieć zdoła?
Boska to była mowa,
Bogu niech będzie chwała.

Gdy ci się serce z boleści kraje,
Gdy nędza, choroba w domu twym zagości,
Gdy dusza wśród cierpień i bólu ustaje
Lub się pogrąża w rozpaczy przepaści —
Ocknij się, ukórz i wołaj w pokorze:
»Oto ja służebnica Pana Boga mego.«
A Ten, co w jednej chwili zmienić wszystko [może
Wejrzy na udręczenie serca twojego.

Lecz gdy radość wieńczy czoło,
Gdy się świat uśmiecha mile,
Kiedy błogo i wesoło
W szczęściu pędzisz życia chwile —
Pomnij, pokora jedynie
Niebiosów progi przebija
I wołaj: »Jam służebnicą, Panie,
We wszystkiem bądź wola Twoja!«



AVE MARIA. (Obacz wiersz na stronie 164.)

Gdy wczesną wiosną, w życia rozkwicie
Do wielkich trudów Bóg cię powoła,
Gdy w pracy, znoju pędzisz twe życie
A pot kroplisty leje się z czoła —
Gdy na wygnaniu tęsknisz za swymi,
Za ziemią, strzechą, rodziną twą,
Myśl i nagroda moja nie tu na ziemi —
»Jam służebnicą...« Bóg zapłatą mą.

Jeśli twą głowę wspaniale
Mitra książęca nakrywa,
Jeśli w zaszczytach i chwale
Imię po świecie rozbrzmiewa —
Nie podnoś wyniośle czoła
Lecz dowiedź czynami twymi,
Kiedyś, gdy Bóg cię powoła,
Żeś »służebnicą« Jego była na ziemi.

Jeśli nad igłą dni pędzisz i noce,
Łzą gorżką skrapiasz suchy chleba kęs,
Gdy w opuszczeniu życie twe sieroce
Samotnie pędzisz wśród troski i nędz —
O nie upadaj! nadzieją i wiarą
Krzep twego ducha, ciało twoje mdleje,
Znoś ciężką dolę z Maryi pokorą
A Bóg cię wliczy między »służebnice« swe.

Marya Leszczyńska.

(Dokończenie.)

Rozczulające było pożegnanie tak tkliwie kochającej się rodziny; stosunek ojca z córką zwłaszcza, należy do najpiękniejszych, jakie przedstawiają dzieje. Dwie dusze ich zlały się z sobą ciągłym obcowaniem i codziennemi rozmowami, obejmującemi od spraw drobnych, potocznych, do najważniejszych zagadnień życia.

Król pożegnał córkę temi słowy: »Niechaj spłynie na ciebie córko błogosławieństwo, które Jakób i Tobiasz ukochanym swoim dawali; niechaj spłynie nadewszystko owe błogosławieństwo Zbawiciela, uczniom dane, niech jak z nimi, tak z tobą, pokój zawsze będzie.«

I obdarzył ukochaną jedynaczkę radami spisywanemi dla niej i stanowiącemi jej moralne wyposażenie, puklerz broniący od przeciwności życia.

Stanisław powiada tam między innemi, że ten tylkó kto doświadczył nieszczęścia, nienadużyje szczęścia. O pochlebstwie mówi: »Kto połyka truciznę pochlebstwa, sam się nią zaraża, jeśli jej się poddaje przez miłość własną, którą taż trucizna najpierwej dotyka. Uzbroiwszy się przeciw pochlebstwu tak, że nie będziesz miała w niem żadnego upodobania, przekonasz się natychmiast, że to jest kadzidło, które rozlatuje się w powietrzu, do niczego więcej niezdolne, jak do odurzenia twej głowy miłą wonią. Tym sposobem posiadać będziesz największą w świecie umiejętność, umiejętność poznawania przymiotów osób, z któremi masz do czynienia i rozeznawania ich prawdziwych zasług.«

Cenną też robi uwagę w odniesieniu do ludu: »Pamiętaj, że głos ludu jest głosem Boga. Prowadź się więc tak, błagam cię o to, jak byś miała obowiązek najmniejszemu z poddanych zdawać sprawę z swych czynności i jakby ów lud, który nieustannie na cię patrzy, zawsze był twym sędzią. Cały świat sądzi według mniemania ludu i lud tylko może cię uczynić nieśmiertelną w potomności. Jego sąd jest tem straszniejszy, im są szacowniejsze jego pochwały.

Spełnij nadzieję, jaką lud w tobie położył, a to przez łaskawość i sprawiedliwość. Nagradzaj zasługi, a wykorzeniaj przywary. Pocieszaj zasmuconych i ochraniaj uciśnionych. Doprowadź tę cnotę do najwyższej doskonałości.«

I kończy tak:

»Składam Bogu nieskończone dzięki, że nie upatruję w tobie nic takiego, cobym zmienić pragnął. Niewidząc w tobie żadnych przywar, muszę tylko z cnotami twojemi walczyć. Dobroć i wspaniałość są to największe cnoty, jakiemi tylko dusza ludzka poszczycić się może. Ale każda przesada ujmuje im wziętości. Ponieważ one obie są tobie wrodzone, tem większego dokładaj starania, aby je w właściwych utrzymać granicach, i aby

nie zmieniły swojej natury. Jeśli kto zbytnio szafuje wspaniałomyślnością, traci ona swe imię i ściąga na siebie pogardę.«

Ustępy te rzucają światło nietylko na charakter piszącego ale i na tę, dla której pisanemi były, a także tłomaczą jej postępowanie.

Ludwik XV wyjechał naprzeciw Maryi, jak tylko wiadomość o zbliżeniu się jej odebrał. Podług naocznych świadków, niecierpliwa jego ciekawość bardzo została widokiem jej zadowolona. Ślub rzeczywisty odbył się w Fontainebleau dnia 8-go Września, a następnie świetna koronacya. Otrzymane dary, królowa rozdała dworzanom, mówiąc do małżonka: »Przyjmuję chętnie te upominki, ale zupełnie zaspokojona darem serca twojego, pozwól, niechaj tych, świadkom szczęścia mojego udzielę.« Był to pierwszy objaw tej potrzeby dawania, wspaniałomyślności, jakiej przez ciąg życia swojego bezustanne dawała dowody. Radami światłego ojca wsparta, w najlepszem swem sercu szukając wskazówki, jak postępować należy, Marya Leszczyńska stała się wzorem chrześciańskich księżniczek, »dobrą królową« jak ją nazywali Francuzi.

I kochali ją wszyscy, mimo pewnej surowości zasad i obyczajów, do której nienawykli, mimo stronienia od hucznych zabaw i przestrzegania ścisłej moralności na dworze. Z dalekich stron przybywał lud, by się ukochanej »świętej« królowej napatrzeć. Mowią, że słowo bienfaisance wynalezionem we Francyi dla Leszczyńskich zostało, bo nikt przed nimi tak serdecznem świadczeniem miłosierdzia nie zasłynął, nikt sobie z pełnienia dobrych uczynków tak wyraźnego celu życia nie zakreślił.

Maryą wszędzie witano jak opiekuńczego anioła, wiadomo, że wszystkie jej dochody należały do ubogich, i w tym rozbawionym, szalejącym kraju, gdzie zazwyczaj tylko pozoru do ucztowania szukano — ona oprócz weselnych i koronacyjnych zabaw, żadnej nie pozwoliła sobie wyprawić, mówiąc, że się to dzieje kosztem ludu.

Miłość ludu podyktowała jej tę piękną myśl, że »dobry król jest niewolnikiem, a lud jego wolny,« i tę drugą niemniej słuszną »najkrótszy sposób zapewnienia szczęścia ludu, jest pracować nad tem, ażeby go cnotliwym uczynić.«

A że im więcej się daje, tem więcej się ma sposobność zbadania potrzeb ubóstwa, królowa odmówiła sobie nawet tego, w czem artystyczny smak jej znajdował upodobanie; pięknych sukien, wytwornej porcelany, nawet pałacu Lucienne, niedaleko St. Germain, ofiarowanego jej przez króla, wyrzekła się, gdy obliczyła, że utrzymanie go kosztowałoby zbyt wiele. Wiadomo z pamiętników spowiednika Maryi Leszczyńskiej (księdza Trążyńskiego), jak wielkie sumy przez jego ręce przechodziły na jałmużny; lecz najbardziej rozczulającym dowodem litościwego serca królowej są te koszule, własną ręką jej do samej śmierci szyte dla biedaków, te składy wszelakiej odzieży nagromadzone, by w potrzebie, podług Chrystusowego słowa »nagiego przyodziać.« Siostry miłosierdzia czerpały z tego skarbca, obficie, rozdając ubogim.

A ponieważ usiłowaniem zacnych serc jest, by to, co się odebrało od innych, w spotęgowanym stopniu drugim oddać, więc też Marya staranne wychowanie ojca swojego na ukochane dzieci przelać chciała. Ośm córek i dwóch synów składało rodzinę. Praca nad kształceniem tej gromadki pochłaniała życie Maryi, i była pociechą w smutkach, do których Ludwik XV i życie dworskie zbyt często dostarczały powodu.

Ojciec Stanisław zrazu mieszkał w przeznaczonem sobie Chambord. Zamek to prześliczny, ulubione niegdyś schronienie Franciszka I. 10,000 luidorów miesięcznej pensyi na utrzymanie dworu, oraz pułk, noszący imię gwardyi konnej, były mu przydane.

W Chambord, we dwa lata po zamęściu Maryi, umarła zacna, sędziwa jej babka. Matka znacznie później, bo w 1747 roku oddała Bogu ducha. Marya odziedziczyła znaczne dobra po niej. Obróciła je na fundacyę Missy-

onarzy w Polsce i na drukowanie książek dla ludu.

Stanisław mianowany księciem Lotaryngii i Baru, zjednał sobie gorącą miłość ludu, któremu się poświęcił. Marya odwiedzając go często w Lunewilu, z dumą i rozkoszą przyglądała się temu stósunkowi. Za pomocą listów zamienianych trzy razy tygodniowo, wzmocniły się jeszcze łączące ich węzły; udzielali sobie wzajemnie myśli i wrażeń. Było to obcowanie dwóch zacnych duchów, szukających na jednej drodze zbawienia dla siebie i dla poddanych swoich.

Ojciec odwiedzał corocznie królową. Odwiedziny te wchodziły już w normalny tryb tego pracowitego, czynnego niemal po mieszczańsku życia, jakie Marya Leszczyńska pędziła na francuskim dworze. Modlitwa, rozmyślanie, roboty ręczne, wspólne czytania, przyjęcia dworskie, pisywanie listów i rozmowy nauczające z dziećmi, oto były zajęcia główne. Obok tego lubiła Marya grywać na lirze, malowała nieco i drukowała swe myśli w kształcie aforyzmów, na małej drukarni. O niej to powiedziano, że nie znała co to są nudy. W zapiskach jej znajdujemy zdanie, że ze wszystkich rodzajów marnotrawstwa, najszkodliwszem jest marnotrawstwo czasu.

Zwyczajem francuzkim, dzieci chowały się za domem, troje tylko pod okiem rodziców. Cztery księżniczki przeznaczone na służbę Bożą, kształcono w klasztorze. Najpodobniejszemi do matki miały być: Henryka, która w stanie panieńskim zmarła, oraz księżna Parmy. Całą duszę Maryi odziedziczył syn, jaśniejący przymiotami serca i umysłu, rokującemi najświetniejszą przyszłość. Zgasł jednak młodo, ku wielkiej boleści niepocieszonej matki. Od jego śmierci i jej siły gasły zwolna. We dwa lata później, w 63 roku życia, dnia 24 Czerwca 1768 roku, to wielkie miłością i poświęceniem serce, bić przestało. Do ostatka zachowała spokój, pogodę i niezwykłą moc ducha. Francuzi opłakiwali »świętą królowę,« której pamięć czczą dotychczas, a która tak zaszczytnie polską narodowość przedstawiała zagranicą, uosobiając typ naszej niewiasty, skromnością, cnotą, sercem pełnem zalet, w połączeniu z wdziękiem sobie właściwym, — że może w znacznej części jej zawdzięczamy pojęcie, jakie o kobiecie polskiej wyrobiło się na szerokim świecie.

Marszałek Richelieu pisze o Maryi w swoich pamiętnikach, że niecierpiała tańców i widowisk; ze wszystkich zabaw publicznych jedynie uczęszczała na koncerta. Wydatki swojego dworu miała za niepotrzebny ciężar dla kraju, uważając pieniądze za owoc krwawego potu ludu.

»Wyposażała uboższe dziewczęta, wspierała ranionych oficerów. Każdy szlachcic w niedostatku, każdy okryty bliznami żołnierz, każdy uciśniony chorobą lub wiekiem kaleka, każdy uczący się młodzieniec lub rzemieślnik, mogli śmiało rachować na jej miłosierdzie. Zakładała domy przytułku dla Sabaudczyków, domy pracy dla robotników, szkoły dla sierot.

Król dziwił się wystarczającej na wszystko hojności swej żony, której nie wspierał. Ktoś zwrócił jego uwagę, że należałoby ją ministrem finansów ustanowić, skoro tak umie mnożyć swoje dochody.

Przykład wysoko postawionych osób wiele może. Całe domowe kółko Maryi przyczyniało się do jej dobrych uczynków. W listach został ślad, że brała dla swoich ubogich miesięczną pensyę od króla Stanisława; gdy w 1757 roku nastał głód i wielka nędza we Francyi, prosiła go o udzielenie jej pieniędzy na kilka miesięcy z góry. A że w każdej chwili biednych swoich miała na myśli, więc z każdej też sposobności korzystała, żeby ich wzbogacić. Nieraz z tego powodu wpadała w długi; dla ich spłacenia zbyła raz swoje kosztowności, zastępując je fałszywemi. O Maryi Leszczyńskiej powiedziano najsłuszniej, że jej żywot był ciągłą modlitwą. Była to jedna z najczystszych, z najbogobojniejszych niewiast polskich.



BOGA-RODZICA DZIEWICA.

WPŁYW PALENIA TYTONIU NA ZDROWIE.

Działanie tytoniu na urządzenie i własności ciała ludzkiego bynajmniej nie jest jeszcze tak dokładnie zbadane, jakby mniemać należało; mianowicie biorąc pod uwagę znajomość oddziałujących i trujących własności soku tytoniu, t. j. nikotyny.

Różne osoby znoszą rozmaicie tytoń. Podczas gdy jedni z samego początku i w dalszym ciągu żadnych przykrych nie doświadczają przypadłości, inni przy pierwszej już próbie i później dostają wymiotów i innych objawów otrucia, zanim przyzwyczają się do tej ciężko zdobytej przyjemności; inni wreszcie pomimo najszczerszej chęci i największych starań, przyzwyczaić się do palenia nie mogą.

Pewien znakomity lekarz francuzki słusznie powiada, że użycie tytoniu trudno bywa znoszone w nazbyt młodym wieku i we wszelkiego rodzaju osłabieniach, (w chorobach, przy przychodzeniu do zdrowia, po tyfusie i innych chorobach wyniszczających), jako też u suchotników, u osób cierpiących na brak krwi, mających krew wodnistą i nadmiernie pracujących umysłowo lub ręcznie.

Nadto wiadomo, że palenie tytoniu na czczo gorzej bywa znoszone niż po jedzeniu, gorzej w pokoju niż na otwartem powietrzu.

Skutki palenia są po części m i e j s c o w e, po części o g ó l n e. Miejscowe polegają tylko na podrażnieniu i nie mogą być właściwie uważane jako przypadłości otrucia. Ogólne przeciwnie przedstawiają wszystkie cechy długiego i rozwijającego się z czasem zatrucia, a mianowicie: przyzwyczajenie i mniej lub więcej nagłe wystąpienie objawów, które łatwo dają się rozpoznać jako oznaki działania nikotyny.

Działanie miejscowe z a ż y w a n i a t a b a k i i ż u c i a tytoniu zależy raczej od przypraw niż od nikotyny: wyraża się ono zapaleniem błon śluzowych w bezpośredniej styczności z tytoniem będących; błony te grubieją i tracą czułość. Również miejscowe działanie p a l e n i a tytoniu powinno być raczej przypisane przypalonym składnikom dymu, niż nikotynie, tylko w stężonym stanie działającej. Działanie to objawia się drapaniem w gardle, oraz wrażliwością języka i podniebienia. Najlepiej daje się to spostrzedz po wypaleniu świeżego i wilgotnego tytoniu, wytwarzającego wiele przypalonych i dziegciowych ciał, oraz po użyciu źle utrzymanych fajek; wreszcie i nazbyt wysoka ciepłość dymu działa podobnież, jak o tem przekonywa użycie krótkich fajek, cygar lub papierosów. Rozumie się, że przy stanach podrażnienia, przy obrażeniach lub owrzodzeniach błony śluzowej wpływ tytoniu staje się jeszcze wybitniejszym.

Przy »zaciąganiu się« (t. j. wciąganiu dymu w płuca) dymem tytoniowem powstaje dość często przewlekłe zapalenie krtani, co obok innych rzeczywistości stwierdza zjawisko, że w krajach, w których przyzwyczajenie to jest rozpowszechnione, częściej występuje choroba ta niż w innych.

Niepodobna dotychczas stanowczego wyrzec zdania o tem, czy r a k w a r g i może powstać w skutku draźnienia końcem fajki; jednak najznakomitsi chirurgowie i lekarze radzą z tego właśnie powodu unikać palenia przy popękanych wargach.

Ogólne działanie tytoniu zależy bez wątpienia od dostania się nikotyny do krwi. Jedne i te same objawy napotykamy przy paleniu jak i przy stósowaniu tytoniu na skorę, na wrzody, przy połykaniu wodnej lub winnej nalewki tytoniu itp.

Trudno obrachować, jaka mianowicie ilość nikotyny i innych istot trujących przedostaje się do urządzenia ciała naszego przez palenie; zależy to bowiem nie tylko od ilości nikotyny w używanym tytoniu ale i od sposobu palenia. Przy paleniu c y g a r i p a p i e r o s ó w

większość nikotyny prawdopodobnie uchodzi natychmiast w powietrze, o czem wnosić można z tego powodu, że przy paleniu pokrajanych w kawałki cygar z długiej fajki daleko mocniejszy następuje skutek, niż przy zwyczajnem ich użyciu. Działanie również mocniejszem bywa przy paleniu cygar bez cygarnicy (albowiem część ślinnego naciągu tytoniu jest połykaną), niż przy użyciu cygarnic, a zwłaszcza przy przepuszczaniu dymu przez wodę lub używaniu fajek o długich cybuchach, w którym pozostaje znaczna ilość nikotyny. Pianka (Meerschaum) używana na cygarnice wciąga dość znaczną ilość soku tytoniowego, ale tylko dopóty, dopóki dostatecznie nim się nasiąknie.

Ponieważ przy zwyczajnem paleniu (bez zaciągania się) mała tylko ilość dymu tytoniowego dostaje się do płuc, działanie więc jego należy przypisać głównie wessaniu przez błonę śluzową jamy ustnej, po części zaś połykaniu przesiąkłej składowemi częściami dymu ślinie.

Ślina więc zawierając nikotynę nie małe przedstawia znaczenie. Z tego względu najlepiej byłoby ją wypluwać. Ale z drugiej strony zważyć trzeba, że wypluwanie oraz poprzedzające pociąganie dymu zwiększa ilość ślin, co bynajmniej nie jest dla zdrowia obojętnem. Często też wydzielanie śliny zwiększa się tem więcej, im więcej się do palenia przyzwyczaja; gdy zaś to nie następuje, pojawiają się przedewszystkiem zaburzenia apetytu i trawienia, z powodu działania śliny sokiem tytoniu przesiąkniętej.

Nikotyna należy do trucizn zabijających już po użyciu nader małej ilości. Objawy otrucia wykazują pobudzenie i następne porażenie nerwów, a mianowicie: z początku występują drgawkowe kurcze, przy czem ruchomość ciała bardzo szybko się zmniejsza, później następuje nieczułość nerwów w takim stopniu, że ich nawet elektrycznością podraźnić nie można; następnie przytępienie świadomości przy czem się źrenice początkowo zwężą a później rozszerzą, szybki powierzchowy oddech, zwolnienie i nierówność bicia serca, wreszcie kurczowe uduszenie i porażenie.

Przy ostrem otruciu spostrzeżono u ludzi następujące objawy: z początku niepokój i poruszanie się trwożliwe, następnie nudności, zawrót głowy, omdlenie i uczucie ciepła w dołku podsercowym i w brzuchu.

Stan ten wkrótce pogorsza się; omdlenie staje się zupełniejszem, nudności przechodzą we wymioty, a uczucie ciepła w brzuchu w ból nieznośny. Skóra blednieje i pokrywa się zimnym potem; występuje mocny ból głowy, źrenice zwężają się, pojawia się szum w uszach, zawrót głowy coraz większy a myśli się mącą.

Wkrótce otruty pogrążony zostaje w sen głęboki, doznaje tylko od czasu do czasu wstrząśnień, źrenice rozszerzą się, wzrok staje się nieruchomym, oddech trudnym, bicie serca słabem, pulsu nie można ucząć, końce palcy ziębną i chory umiera.

Częstokroć przy wymiotach toczy otruty obficie śliny, które wyglądają jak czarniawy mocno cuchnący kał. W innych razach występuje nagle bezwładność i upadek sił, ze zachowaniem jednakże przytomności.

Wyzdrowienie następuje po głębokim śnie, po którym pozostaje tylko ból głowy, osłabienie i wstręt do tytoniu kilka dni trwający.

Lekkie zaś zatrucie tytoniem, jakie najczęściej u podrostków naszych napotykamy, przypominają wielce chorobę morską: nudności, zawrót głowy, duszność, ściskanie w dołku, bladość, zimny pot na czole, szum w uszach, drżączka, osłabienie, często ból głowy lub boleści w brzuchu, trudny oddech, drobne bicie pulsa; w końcu omdlenie. Stan ten zwykle przechodzi po wymiotach dość prędko.

Dotychczas mówiliśmy o zatruciu ostrem i lekkiem. Najważniejsze atoli znaczenie przedstawia otrucie rozwijające się z casem.

Zatrucie takie (zwane chroniczne) bywa spowodowane ciągłem użyciem ma-

łych ilości trucizny, jak to zdarza się przy używaniu tytoniu lub przy zajęciu we fabrykach papierosów, cygar i t. p. Najmniej jadu dostaje się do składu ciała przy używaniu tabaki, z powodu zgrubienia błony śluzowej i większego jej oporu. Żucie tytoniu również wywołuje nader słabe tylko działanie ogólne. Najszkodliwszem bezwarunkowo jest palenie, a mianowicie zaciąganie się dymem i użycie cygar. Dobre przewietrzenie fabryk niszczy w znacznym stopniu wpływ wyziewów trucizny.

W każdym razie robotnicy niedawno w nich pracujący cierpią zwykle na katar, na ból i zawrót głowy, brak apetytu, nudności, wymioty, boleści i biegunkę; niektórzy bywają zmuszeni do zaniechania tej pracy, większość zaś przyzwyczaja się w końcu. Po upływie dwóch lat zwykle dostają oni żółtej cery, zależącej jak się zdaje od braku krwi.

Niektórzy spostrzegli często u pomienionych robotników drżączkę i bezwład, wreszcie choroby płuc, a zwłaszcza suchoty, częstsze w ogólności u kobiet.

Zwolenników tytoniu przywiązuje do niego nie miejscowy wpływ tego środka, ale własność uspokajająca układ nerwowy, czynność serca, naprężenie pulsu, wreszcie wyobraźnię, czucie i wolę. W tem właśnie upatrywać należy przyczynę powodu, że Indyanie uważają fajkę jako godło pokoju.

(Dokończenie nastąpi).

Trzy chwile z doli wychodzców.

III.

Na obcej ziemi.

Jechali koleją dzień i noc i jeszcze pół dnia. W wagonie czwartej klasy przytulili się do siebie; dzieci to spały, to bawiły się; rodzice tylko tedy owedy przemawiali do siebie słowo. Walek zaciął zęby, podchodził co chwilę ku oknu, szepcąc: »A daleko tam jeszcze ten Hamburg?« Barbara siedziała w kącie na tobołku; patrzała przed siebie, lecz niczego nie widziała; choć oczy suche miała, serce jej całe w łzach było.

Jechali aż i dojechali do Hamburga i tak się złożyło, że zaraz na drugi dzień mogli siadać na okręt. Kiedy ta chwila nadeszła, Barbara wybuchnęła głośnym płaczem, a synek, widząc matkę płaczącą, w niebogłosy zaczął krzyczeć. Inni podróżni spoglądali na płaczących, wzdrygali ramionami. Walek burknął na żonę:

— Nie rób breweryi, bo nas jeszcze na okręt nie wezmą.

Weszli na okręt i usiedli w kącie na pokładzie. Okręt ruszył. Budynki portowe zaczęły maleć, maleć coraz więcej, aż rozpłynęły się we mgle. Strach przejął Walka i Barbarę, gdy ujrzeli się zawieszeni niejako między niebem i ziemią.

— A jak się ten okręt zapadnie we wodę? — myślał Walek i zimno go przechodziło, bo to śmierć!

Lecz okręt się nie zapadł; szczęśliwie przybyli do Nowego Jorku. Tam zastali brata, który ich witał i do siebie zapraszał. Rozweseliło im się serce.

— Ha, może tu nie tak źle! — pomyślała Barbara.

Dzień odpoczywali. Na drugi dzień brat wziął Walka na stronę i tak mu powiedział:

— Tu w mieście siedzieć nie możesz, bo tu z zarobkiem ścisk. Każdy się trzyma zarobku, który ma. Lecz ja wiem o pewnej kolonii, gdzie tanio grunt nabyć można. Czytałem w gazetach. Sto mil tu ztąd, lecz to nic nie znaczy, od czego kolej żelazna?

— Ale ja nie mam dość pieniędzy, ażeby kupić grunt, — odrzekł na to Walek.

— Pożyczę ci, kupimy na spółkę — odpowiedział brat. — Za czasem sprowadzę się do was.



Na obcej ziemi. (Obacz powiastkę: »Trzy chwile z doli wychodzców.«)

Tak się stało. Obaj poszli do agenta, z którym zawarli kontrakt. Tenże opowiadał im, że dobrze uczynili, przychodząc, gdyż jeszcze tylko jednę parcelę miał na zbyciu. Obiecał też, że za dwa dni sam Walka zawiezie na miejsce przeznaczenia.

Przez owe dwa dni Walek z bratem pokupił, co należało do gospodarstwa a także do rudowania lasu, gdyż większa część gruntu nabytego była pokryta lasem.

I znowu jechali koleją dzień i noc. A znowu smutniej im było, bo się z bratem rozstać musieli. Razem z nimi kilka innych rodzin niemieckich a jedna czeska. Z tą Walek się wnet zapoznał i zaznajomił.

Nocą przybyli na miejsce. Agent wystarał im się o kwaterę w budzie drewnianej pewnego kolonisty, który sprawował niejako urząd dozórcy.

Nazajutrz rankiem Walek pierwszy wstał i wyszedł za drzwi chałupy. Patrzy zdziwiony, bo w około las, a w środku niego kilka drewnianych chat stoi, nędzniejszych niżeli w ojczyźnie szopy do wozów. Widzi, że las okalający kolonią wyrąbują a pnie rudują.

— Gdzie tu co siać? — westchnął. Gdzie tu gospodarstwo prowadzić?

Usiadł i patrzał i myślał. Po chwili wyszedł z jednej z owych bud agent i uśmiechając się, szedł ku Walkowi. Poszwargotał coś po swojemu do niego, lecz Walek nie zrozumiał.

Zwolna powstawali inni a wreszcie agent nowych kolonistów wezwał, aby szli obejmować parcele. Czech, który mowę agenta rozumiał, pociągnął Walka za sobą. Barbara, bardzo blada i zmizerowana szła z dzieckiem na ręku. Synka starszego musiał Walek nieść.

Weszli w las i doszli po pewnym czasie do miejsca, na którem drzewa były wycięte, a ziemia pod uprawę zdatną. To były owe parcele.

— Każdy z was, — mówił agent, — ma tu kawał roli, na której siać może. Reszta parceli nabytej, to jeszcze las, który wyciąć i wyrudować trzeba. Kupiliście je za bezcen i myślę, że będziecie kontenci, skoro się przyłożycie mocno do pracy.

Potem jeszcze pokazał granicę, powiedział, że po radę wszelką i pomoc mogą się udawać do owego dozórcy i poszedł.

Wychodźcy pozostali sami, spoglądając to na siebie, to na las w około nich; wszystkim im w duszy było nie wesoło.

— Trzeba budować chałupę, aby się gdziekolwiek schronić, — rzekł Czech do Walka.

— A trzeba, — odparł Walek i zabrał się do tego.

Budowali chałupę albo raczej budę z desek. Barbara z dziećmi siedziała na skraju lasu. Była bardzo blada, ledwie żywa i czuła się chorą, choć nic nie mówiła o tem. Dzieci też blade, zmizerowane, pokaszliwały; ciągle prawie płakały. Okropne to było położenie, bez dachu, gdzieś między nieznanymi ludźmi, na obcej ziemi.

W dwa dni potem dziecko młodsze rozpaliło się na całem ciele; miało gorączkę wielką, było chore.

Rodzice zatrwożyli się wielce. Chociaż buda ani w połowie jeszcze nie była skończona, przecie trzeba było schronić się do niej.

Lecz cóż począć? Zkąd przywieść lekarza?

Nie trwało długo, a i starszy synek zachorował.

Walek włosy sobie darł i jęczał:

— Ach, Boże, na com ja z domu wyszedł.

Barbara przykładała zimne chusty na pałające skronie dzieci. Gdyby nie troska o dzieci, samaby się była położyć musiała, tak bardzo czuła się schorzałą i słabą. Teraz jednak wzgląd na dzieci dodawał jej siły i mocy.

Lecz choroba dzieci wzrastała z każdą godziną. Niewygody podróży, inne powietrze, inne wyżywienie, inna woda, — wszystko to złożyło się na chorobę dzieci.

I oba dzieciszczka zmarły jednej nocy...

Walek spał, znużony całodzienną pracą, gdy go Barbara zbudziła.

— Już ich nie ma! — rzekła.

— Co? — jęknął Walek i powstał.

Na ziemi, wśród łachmanów, mchu i liści leżały oba dzieciątka zimne; duszyczki ich już uleciały do Nieba, gdzie biedy okropnej nie ma, lecz wieczna szczęśliwość.

— Boże, mój Boże, — wołał Walek, — jam to sprawcą ich śmierci; z mojej winy zmarły.

Na drugi dzień Walek przerwał budowę domu a zaczął klecić trumienki. A gdy skończył poszli w las i na własnej parceli pochowali je sami, bo księdza nie było. Na każdym grobie postawili krzyżyk prosty.

Ach! gdyby można było zajrzeć do głębi serca Walka i Barbary! Jakże tam ponuro było; jakiż tam teraz żal był za straconą ojczyzną. Przypomnieli sobie wieś rodzinną i ludzi swoich i kościół i cmentarz przy kościele. I słyszeli w duszy poważny śpiew księdza proboszcza przy pogrzebach i głos starego organisty, a wreszcie śpiew wspólny: Witaj Królowa!

Mój Boże, mój Boże! Jak gorzko i smutnie żyć i umierać na obcej ziemi!

I cóż jeszcze wiele pisać o dalszych losach Walka i Barbary? Wszystko to bardzo niewesołe.

Upłynęło kilka dni a Barbara coraz więcej słabła; już nieraz całymi dniami leżała w kącie budy, teraz wykończonej. Walek o rozum przychodził. Brał się do roboty, a robota nie szła mu od ręki. Zamiast pracować, siadał i patrząc przed siebie; myślał. Czasami chwytał się za głowę, jakoby się obawiał, że mu pęknie, albo mu się w niej pomięsza. Potem biegł do domu, patrzeć, co się dzieje z Barbarą.

Żona poczciwego Czecha odwiedzała Barbarę często i przynosiła jej napoje z ziółek rozmaitych. Lecz niestety skutku tych ziółek nie było widać. Czeszka kiwała głową i jednego dnia, wywoławszy Walka za dom, rzekła:

— Nie wyjdzie z choroby!

— Jezus Marya! — jęknął Walek. I jam jej zabójcą. O ja nieszczęśliwy!

— Uspokójcie się! A przedewszystkiem nie dajcie jej poznać, jak niebezpiecznie z nią jest. Może Bóg się zlituje i wyprowadzi ją z choroby...

Lecz Barbara sama czuła, że koniec jej bliski.

Wolno upływały dni dla chorej, lecz bez polepszenia. Pewnego dnia rzekła do Walka:

— Walku, ja już nie wstanę. Ach, jakbym się rada wyspowiadała.

Walkowi krajało się serce. Wybiegł z chałupy, pytać ludzi, czy gdzie w okolicy księdza nie ma. Czech mu w tem dopomagał.

Koloniści wzdrygali ramionami, słysząc ich pytania; niektórzy nawet się z nich wyśmiewali, gdyż innowierców a niedowiarków dużo się między nimi znajdowało. Dowiedzieli się, że raz kiedyś był misyonarz katolicki w kolonii, lecz to było już rok temu. Nikt nie umiał powiedzieć, gdzie w pobliskości ksiądz katolicki mieszkał.

Walek wrócił przygnębiony do domu. Gdy wszedł, nie miał śmiałości powiedzieć chorej o skutku swoich zabiegów, lecz padł na ziemię przy legowisku jej i w głos płakać zaczął.

Barbara domyśliła się przyczyny i otworzywszy oczy, rzekła:

— Walku, nie płacz! P. Bóg ciężko nas doświadcza, lecz wola Jego święta... Mnie już niedługo tu będzie. Czuję, że siły słabną i uchodzą. Wnet P. Bóg duszę moję do Siebie powoła. Tam będzie mi lepiej. Lecz ty, Walku, co poczniesz?

— Ja się zabiję! — zawołał Walek.

— Na Boga, nie wspominaj o tem — odpowiedziała chora i podnieść się usiłowała na posłaniu. Życia sobie odbierać niewolno. Tylko Bóg, który je nam dał, może je znowu odebrać.

— Mnie się zdaje, — tak mówiła chora po chwili, — że uczynisz najlepiej, gdy odprzedasz naszą parcelę, a za te pieniądze powrócisz do brata. Może jeszcze kiedy wrócisz do ojczyzny.

Tu głos chorej zaczął się trząść, snać wielkie wzruszenie ją ogarnęło.

— A jeśli wrócisz do naszej wsi, pozdrów tam wszystkich odemnie i powiedz im, że nie ma spokoju duszy

i serca, nie ma szczęścia, jak świat długi i szeroki, tylko na ojczystej ziemi...

Walek płakał, nic nie odpowiadając; z żalu serce mu pękało, a z rozpaczy w głowie się mięszało...

Odtąd Barbara rzeczami ziemskiemi już się nie zajmowała. Skupiła ducha, obliczała się z sumieniem, kajała się w myśli przed Bogiem, błagała go o miłosierdzie dla grzesznej swej duszy w gorących modłach.

Na drugi dzień pod wieczór żyć przestała. Walek straszny był w swej żałości; nie płakał, bo zdawało się, jakby mu już łez nie stało. Z dziwnym spokojem zaczął klecić trumnę dla Barbary. Czech pomagał mu w tem a Czeszka zajęła się ubraniem zmarłej.

Walek nie płakał, gdy ją w trumnę włożono. Nie płakał, gdy ją zaniesiono na owo miejsce, gdzie już dwie mogiłki dzieci były.

Potem prosił, aby Czech z żoną odeszli na bok, aby jeszcze mógł ostatni raz pożegnać się z żoną.

Ukląkł przy trumnie przed otwartym grobem, sparł ręką na trumnie i rzekł:

— Barbaro miła, przebacz mi, żem cię zabił. Proś za mną przed tronem Najprawiedliwszego Sędziego, aby się zmiłował i nie karał mnie za srogo. Przebacz mi, Barbaro, że w obcej ziemi spoczniesz i czekać będziesz sądu ostatecznego. Klnę się na Boga, że gdybym mógł, na własnych barkach zaniósłbym cię do ziemi ojcowskiej i pogrzebał. I wy dwa aniołki, dziatki moje, przebaczcie ojcu, że was na zagładę cielesną wyprowadził w obcy świat. Boże, miłosierny Sędzio! Racz się zlitować nademną grzesznikiem. W niewyczerpanej łaskawości Swojej racz sprawić, aby mi się rozum nie pomięszał, abym pokutując przez całego życia dni, które mi jeszcze pozostają, odpokutował moje winy. Boże ojców naszych, racz być miłosiernym Sędzią dla mnie a dusze moich drogich zmarłych przyjąć do chwały Swojej. Wieczny odpoczynek racz im dać Panie a światłość wiekuista niech im świeci na wieki wieków. Amen.

Potem zasuto ziemią trumnę. Czech odprowadził Walka do chałupy i pocieszał go, jak umiał...

Co się dalej z Walkiem stało, niewiadomo.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Boga rodzica jestto pieśń polska, ułożona przez św. Wojciecha, którą za dawnych czasów wojsko polskie przed bitwą śpiewało. Z tego się pokazuje, że od dawnych, dawnych wieków Polacy szczególnymi czcicielami N. P. Maryi byli.

W dzisiejszym numerze podajemy najstarszy tekst tej pieśni i nuty do niej z 1408 r.

U góry tego obrazka widać trumnę św. Wojciecha z katedry Gnieźnieńskiej, w której spoczywają zwłoki tego świętego patrona Polski.

Z lewego boku przedstawione są ozdoby kute w nawach katedralnego kościoła gnieźnieńskiego.

Z prawej strony, u dołu, stoi relikwiarz z głową św. Wojciecha

Komu kiedy droga przez Gniezno wypadnie, niech nie omieszka, wstąpić do katedry gnieźnieńskiej, aby sobie obejrzeć starożytną tę świątynię z licznemi pamiątkami i pomodlić sie u grobu św. Wojciecha, który był także apostołem wiary chrześciańskiej na G.-Szląsku i głosił ją mianowicie w okolicy Opola.

W Gnieźnie to było, gdzie sławny król polski, bohaterski Bolesław Chrobry przyjmował w gościnie cesarza niemieckiego Otona, gdy tenże pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha odprawił. Tamto ów cesarz zdjął własną koronę z głowy i włożył ją na głowę Chrobrego, uznając go przez to za króla.

Za polskich czasów miało Gniezno wielkie znaczenie. Arcybiskup gnieźnieński był pierwszą osobą po królu.

Dzisiaj tam wprawdzie nie sami Polacy mieszkają, lecz większość mieszkańców jest polska a mieszczaństwo gnieźnieńskie, jak cały lud polski w okolicy Gniezna słynie z dzielności i wierności dla wiary św. i z miłości języka polskiego. Niech im wszystkim P. Bóg za przyczyną św. Wojciecha błogosławi, a gdy się modlą przy trumnie tego świętego Patrona, niech też westchną za nami Górnoszlązakami.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Własności limonady gorącej.** Cytryna powstrzymuje natychmiast dyaryą. Dość w szklankę wrzącej wody włożyć kilka płatków cytryny, kilka kawałków cukru, zmięszać wszystko dobrze i wypić zaraz. Dwie lub trzy szklanki takiej gorącej limonady wypite co pół godziny, sprawią skutek niezawodny.

— **Ugotować dobry lub zły rosół.** Jeżeli włożymy mięso w zimną wodę i postawimy naczynie na wolnym ogniu, woda przenika powoli w mięso, które ustępuje jej swój sok; wtenczas rosół jest wyborny. Jeżeli przeciwnie włożymy mięso we wrzątek, lub w ciepłą wodę, włókna ściskają się i powierzchnia mięsa twardnieje; woda nie może się przedostać, sok się z nią nie mięsza, a rosół będzie niepożywny i bez smaku.

— **Recepta na włosy.** Nic tak nie utrzymuje żywotności włosów, jak nacieranie alkoholem 96°. Jeżeli włos rzadki, można dla pobudzenia porostu dodać do alkoholu dziesiątą część jego wagi kwasu salicylowego lub borowego. Dla zapachu wreszcie wlać kilka kropel esencyi różanej, pomarańczowej lub innej.

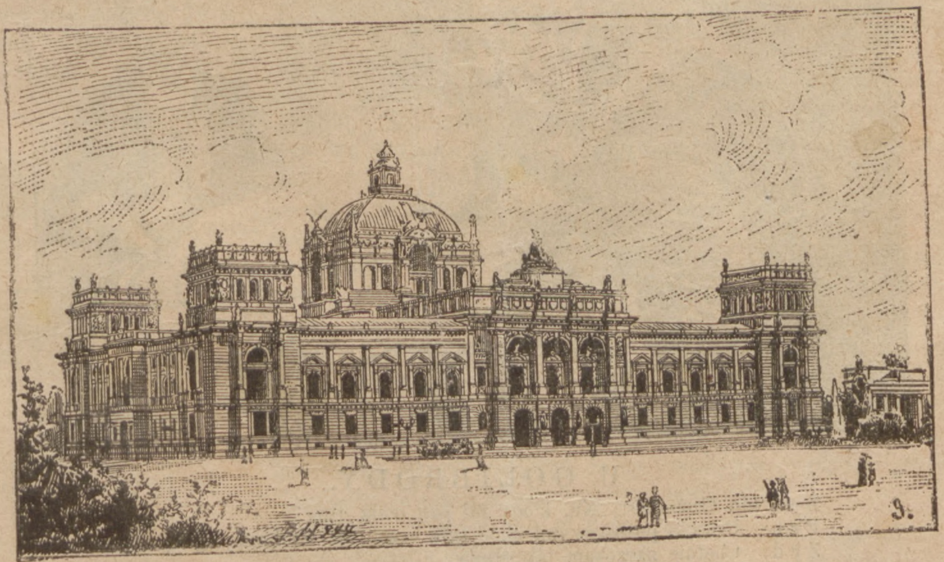
12 znaków zodyaku: Barana, Byka, Bliźnięta, Raka, Lwa, Pannę, Wagę, Niedźwiadka, Strzelca, Koziorożca, Wodnika i Ryby; potem cztery wieki ludzkie: Dziecko, Młodzieńca, Męża i Starca. Kwadranse wybija dwóch aniołów, całe godziny anioł aż do ukazania się starca, poczem śmierć godzinę wybija. Wieczorem o godz. 8-mej dzwoni kościelny na »Anioł Pański,« poczem się ukazuje modląca się panna w elektrycznie oświetlonej kaplicy a przy tem przygrywa [illegible] znakomity [illegible] dnie.

— **Płyn do wymywania plam tłustych z sukna.** W garnek gliniany polewany, wlewa się butelkę czystej miękiej wody, letnio ogrzanej, dodaje 5—7 dkgr. białego mydła i sypie $3^1/_2$ dkgr. czystej sody. Gdy się wszystko w wodzie rozpuści, przylewa się do płynu tego dwie łyżki żółci wołowej oczyszczonej i trochę olejku lawendowego. Mięsza się wszystko dobrze, cedzi i przechowuje w butelce dobrze zakorkowanej. Chcąc z wody tej użytek zrobić, napuszcza się jej kilka kropli na plamę, wyciera szczoteczką a w końcu miejsca splamione myje letnią wodą w tych miejscach zwłaszcza gdzie ciecz wsiąkła.

— **Żeby się pióra stalowe nie psuły.** Jeżeli po pisaniu położymy pióro nie obtarte, to warstwa atramentu osadza się na niem, przysycha i prędko niszczy pióro. Anglicy używają do czyszczenia piór kartofla, w który zatykają je po skończeniu pisania. Pióro odzyskuje swój połysk, nawet wówczas, gdy osadzona na niem warstwa atramentu zeschła oddawna.

Rozmaitości.

— **Przewóz drobiu we Włoszech.** Hiszpanie są wielkimi amatorami drobiu. Biedniejsi zadawalniają się choć skrzydełkiem lub udkiem, które za kilka centymów nabywają na targu. Drób miejscowy nie wystarcza; poprzednio dostarczała go Francya, dziś z powodzeniem konkurują z nią Włochy. Wagony włoskie, przeznaczone na transport drobiu do Hiszpanii, urządzone są bardzo dowcipnie i wygodnie, a kurczęta dostają się do miejsca przeznaczenia w najlepszym stanie zdrowia. Wagony te, budowane w Wenecyi, mają zwykły rozmiar wagonów towarowych. Przednia i tylna ściana są zamknięte, boczne zrobione są z deszczułek pochylonych, mają podobieństwo żaluzyj. Powietrze skutkiem tego ma wolny dostęp



Nowy gmach parlamentu w Berlinie.

do wnętrza wagonu. We wnętrzu znajduje się dziewięć szeregów klatek ustawionych jedne nad drugiemi, podzielonych na trzy grupy, i pooddzielanych dwoma poprzecznemi pasażami; w ogóle 108 klatek, zawierających po 30 kur, czyli 3,240 sztuk w całym wagonie. Każda klatka ma spód wysuwalny, ułatwiający oczyszczanie wnętrza, drzwiczki przez które wsunąć można rękę, wreszcie korytko cynkowe z wodą i ziarnem.

* **Otwieranie się kwiatów.** Ciekawym a mało znanym faktem jest godzina i czas otwierania się kwiatów. Większa część kwiatów rozwiera kielichy krótko przed jutrzenką lub podczas nocy, inne w różnych porach. Jedne otwierają się w chwili pojawienia się słońca na niebie, inne, jak gdyby obawiały się chłodu rannego, dopiero po ogrzaniu się atmosfery; inne zwracają za zachodzącem słońcem kielichy ledwie rozwarte, a niektóre czekają na pojawienie się księżyca. Ta sama zmienność w trwaniu samego zjawiska; niektóre rozwarte są przez kilka dni i nie zamykają się na noc: jak róże, gwoździki, geranie, fiołki i tysiączne kwiaty ogrodowe; inne, jak owe muchy jednodniówki, roztwierają się w pewnej godzi-

wielkie usługi tam, gdzie idzie o stłumienie odgłosów. Słowem, żużle, które dotąd się marnowały, teraz będą mogły być spożytkowane.

ŻARTY.

Zapóźno.

— Doktorze, czy nie mógłbyś mi dać skutecznej rady na tę przeklętą podagrę?

— Bardzo chętnie; nie trzeba było pić węgierskiego wina przez ostatnie

zegaru flory. Posiadacz małego ogródka może, nie uciekając się do zegaru, poznać godzinę po otwieraniu się kwiatów.

* **Kinetograf** — oto najnowszy wynalazek Edisona, o którym już od roku głuche wieści chodziły, ale z którym wynalazca dopiero teraz zapoznał przybywającego doń w odwiedziny redaktora paryzkiego. Według niego, Edison miał oświadczyć, iż kinetograf będzie tem dla oka, czem jest fonograf dla ucha, a nawet zadowoli oba te zmysły. Przy pomocy tego aparatu będzie można uczestniczyć w operach i wszelkich widowiskach, słysząc i widząc zarazem występujące w nich osoby. Kinetograf będzie też mógł utrwalić na czas dłuższy ruchy osób pojedyńczych i całych mas. Edison oświadczył, iż aparat jego nie jest jeszcze zupełnie wydoskonalonym i że praca nad nim zajmie mu jeszcze całe dwa lata. Mimo to, przy pomocy gotowego już aparatu próbnego, pokazywał gościowi schwyconą grupę tańczących Tyrolczyków, oraz korony drzew, poruszanych gwałtownym wichrem.

* **Krajowa szkoła garncarska** w Kołomyi dnia 6-go Czerwca b. r. otwiera kurs praktyczny dla robotników-strycharzy, ażeby fabrykom dren, dachówek i cegielniom dostarczyć zawodowo przysposobionych robotników. Praktykanci na kursie tym uczyć się będą: a) składania masy do wyrobu cegły, dren i dachówek zwykłych (karpiówek), z glin tłustych z dodaniem materyałów chudzących, jak: glin piaszczystych, muliku i piasku miałkiego; b) wyrabianie dren i cegły przy użyciu maszyn ręcznych, a dachówek zwykłych przy użyciu form ręcznych żelaznych; c) wkładania wyżej wymienionych wyrobów i pieca i wypalania ich. Ażeby praktykanci naukę zawodową na kursie tym z możliwie największym pożytkiem dla swej



U GOLIBRODY.

Żyd (do dłużnika): Nu, kiedy mi pan odda dług?
Pan: Przecie pozostaw mi choć tyle czasu, aż mi brodę ogolą.
Żyd: Chętnie zaczekam tak długo.
Pan (powstając): W takim razie nie dam się ogolić. (patrz na str. 3)

fabryki odbyć mogli, pożądanem jest, by naukę praktyczną odbyli przy użyciu materyałów istniejącej lub mającej powstać fabryki. W tym celu należy przesłać do szkoły garncarskiej w Kołomyi po jednym korcu gliny tłustej, piasczystej, muliku i piasku — słowem wszystkich tych materyałów, których fabryka zamierza użyć do swych wyrobów. Kandydat na kurs praktyczny ma się wykazać poświadczeniem, że jest czeladnikiem garncarskim lub robotnikiem cegielni, fabryki dren lub dachówek. Nauka odbywa się bezpłatnie i stósownie do uzdolnienia kandydata trwa krócej lub dłużej, nie więcej jednak jak 4 tygodnie. Utrzymanie (pomieszkanie i wikt), należy do stron interesowanych. Zgłoszenia na kurs wymieniony należy adresować do dyrekcyi kraj. szkoły garncarskiej w Kołomyi.

* **Największe dzieło sztuki** w przemyśle wyrobu zegarów wykonał Teodor Weiser z Voehrenbach w Czarnym lesie. Ów zegar kunsztowny jest 3 metry wysoki, 2 metry szeroki a 1 metr głęboki i pokazuje sekundy, minuty, godziny, dnie, data, miesiące, rok przestępny i liczbę roku; na różnych tarczach zegarowych (cyferblatach) zaś czas Schanghai, Kalkuty, Petersburga, Berlina, Greenwicha, Madeiry, Montrealu, Melburna i San Francisko. (Wymienione miejscowości położone na całej kuli ziemskiej odznaczają się najlepszemi gwiazdopatrzniami). Potem pokazuje wiosnę, lato, jesień i zimę; dalej 12 znaków zodyaku: Barana, Byka, Bliźnięta, Raka, Lwa, Pannę, Wagę, Niedźwiadka, Strzelca, Koziorożca, Wodnika i Ryby; potem cztery wieki ludzkie: Dziecko, Młodzieńca, Męża i Starca. Kwadranse wybija dwóch aniołów, całe godziny anioł aż do ukazania się starca, poczem śmierć godzinę wybija. Wieczorem o godz. 8-mej dzwoni kościelny na »Anioł Pański,« poczem się ukazuje modląca się panna w elektrycznie oświetlonej kaplicy a przy tem przygrywa fletnia znakomity utwór muzyczny: »Modlitwę wieczorną Panny.« W nocy nowego roku wytrębuje dwóch trębaczy nowy rok, zegar pokazuje za pomocą sztucznego oświetlenia rok mający się ku schyłkowi i rok rozpoczynający się. Następnie pokazuje Narodzenie Chrystusa, Trzech Królów, Wielkanoc i Zielone Świątki. W południe o godz. 12-tej pieje kur trzy razy. W Maju słychać kukułkę, w Czerwcu przepiórkę śpiewać. U góry w zegarze pokazuje się słońce i księżyc w oświetleniu. Gdy słońce wschodzi fletnia gra utwór: »Słońce się budzi,« a podczas pełni: »Dobry księżycu, idziesz tak spokojnie.« Na tarczach zegarów wyryte herby tych krajów, których czas zegar pokazuje i Britannią; herby są elektrycznie oświetlone. Zegar ten kunsztowny został do Anglii sprzedany za 16000 marek.



lecz zapuszczę brodę!

* **Londyn.** Wielkość i niezmierny ruch handlowy wynika daleko dokładniej niż z wielu słów z następujących liczb: W Londynie naliczono 547410 domów, 1450 kościołów, 2100 szpitalów, 570 gościńców, 3100 piekarni, 2200 pocztów, 19000 dorózek i 1500 omnibusów. Miasto spotrzebuje rocznie 2 miliony miechów mąki, 260000 świń, 450000 wołów, 1600000 bydła, 8½ miliona sztuk dziczyzny i kur, 220 milionów ryb, 510 milionów ostrzyg. W roku 1700 mieszkało w Londynie 700000; 1800 zaś 900000 a teraz 5633000 ludzi. Pomiędzy mieszkańcami znajduje się więcej Szotów jak w Edinburgu (miasto główne w Szkocyi) więcej Irlandczyków jak w Lublinie (miasto główne w Irlandyi) więcej katolików jak w Rzymie, a więcej żydów jak w całej Palestynie żyją.

* **Ryby latające.** Dotąd przedstawiano sobie latanie ryb w ten sposób, że pletwy działają podobnie jak skrzydła ptaków, nietoperzy lub owadów. Tymczasem pewien uczony, który miał sposobność zbadania latających ryb na oceanie indyjskim zaprzecza temu. Podług jego zdania ruchy pletw ryb latających ograniczają się do naprężenia i drgania zaledwie, a właściwym powodem latania są r u c h y r z u t o w e, jakie ciału ryby udzielają bardzo silnie rozwinięte mięśnie bocznej części kadłuba. W podobny sposób niektóre ryby szybko skaczą w wodzie. Szybkie wyskakiwanie ryb latających z wody polega na tem, że powietrze przedstawia mniejszy opór aniżeli woda; spadają one wkrótce do wody, używając rozpostartych pletw brzusznych nakształt spadochronu.

Kierunek wiatru musi naturalnie do pewnego stopnia sprzyjać lub przeszkadzać lataniu ryb. Wogóle wyskakują one z wody bez względu na kierunek wiatru i fal. We dnie skaczą tak, że unikają okrętu, w nocy zaś, nie widząc dobrze, wpadają nań z łatwością. Największa wysokość skoków wynosi 5 metrów nad powierzchnią wody. Ryby latające posiadają szczególne urządzenie, służące do zamykania gęby, w której zatrzymują pewną ilość wody potrzebną do podtrzymania oddychania podczas lotu.

* **Światło słoneczne i śmierć.** Doktór James Wylins, opierając się na długoletnich spostrzeżeniach, znalazł, że w szpitalach, w których okna chorych wychodziły na północ, umierało cztery razy więcej osób niż w pokojach wystawianych wprost na działanie słońca. Warto byłoby sprawdzić ten fakt po innych szpitalach, dla przekonania się o leczniczym wpływie promieni słonecznych.

ŻARTY.

Kuracya Ks. Kneippa

Jak wiadomo wszystkim pragnącym zdrowie i życie przechować jak najdłużej, że pojawił się w świecie nowy lekarz, ks. Kneipp, kurujący wodą. Do kuracyi tej należy i chodzenie boso. Otóż tedy pewien proboszcz, zwolennik żarliwy Ks. Kneippa, idąc za jego radą, nie tylko w domu nie używa ani szkarpetek ani obuwia, ale nadto wybrał się raz w drogę per pedes apostolorum t. j. boso. Podróżnik nasz, jak zwykle zamyślony, na lasce dźwigając zawieszone buty, idzie sobie swobodnie cząs jakiś, gdy oto naraz słyszy krzyki płaczliwe: „Mój Boże; Mój Boże!“ Ogląda się zdumiony i spostrzegł tłum wieśniaków i wieśniaczek, którzy mu się przypatrują z załamanemi rękami a kobiety ocierają oczy fartuchem.

— Co wam to, moi ludzie? — pyta.

— Nic, proszę dobrodzieja, ale oto... o gwałtu rety... toż to księżulko biedak, nawet butów niema na nogach.

Proboszcz roześmiał się, ale nadaremnie wysilał się na przekonanie poczciwych wieśniaków, że go nie nędza, lecz zdrowie zmusiło do podróżowania bez obuwia. Jedni też odeszli wzruszając głowami z powątpiewaniem, a inni cicho szepcząc do siebie: „Oj bieda, bieda wielka na świecie, kiedy już i dobrodzieje nasi chodzą boso“.

Ze szkoły.

Nauczyciel: Kochane dzieci, strzeżcie się w gniewie popełnić jaki czyn nierozważny. Zawsze starajcie się zapanować nad sobą. Będąc w gniewie, porachujcie najprzód wasze guziki a potem dopiero działajcie.

Na następnej lekcyi:

— Osłowski powtórz pieśń dwunastę!

Leniwy Osłowski znowu się nic nie nauczył, dla tego pan nauczyciel chce dać mu za uszy.

Osłowski: Guziki najprzód przeliczyć panie nauczycielu!

Na egzaminie z medecyny.

Profesor: Cobyś pan przepisał nieszczęśliwemu, któryby zażył zbyt wielką dozę arszeniku?

Student: Najlepszą rzeczą byłaby trumna.

Pewien skąpiec, znany z swej nieczułości, błogosławiąc zięciowi i córce, do łez się rozczulił.

— Nie myślałem, aby ten człowiek miał serce; — odzywa się jeden z obecnych.

— Łzy te wyciska mu posag, który za córką daje — odpowiada notaryusz — płakał już przy podpisywaniu intercyzy ślubnej.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.